ISSN 1689-488X

PAUza Akademicka

Rok XVI

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności Nr 654 Kraków, 14 września 2023

pauza.krakow.pl pau.krakow.pl

17 września br. mija pięćdziesiąt lat od śmierci Oskara Haleckiego, jednego z najwybitniejszych polskich historyków, profesora Uniwersytetu Warszawskiego oraz Fordham University w Nowym Jorku, członka czynnego Polskiej Akademii Umiejętności. Oskar Halecki znalazł się w gronie czterech członków PAU, którzy w 1942 roku w Nowym Jorku powołali do życia Polish Institute of Arts and Sciences in America (PIASA), mający za zadanie kontynuować działalność PAU na emigracji. Instytut działa do dziś i owocnie współpracuje z PAU.

Publikujemy dzisiaj krótkie wspomnienie ucznia Oskara Haleckiego, profesora Tadeusza Gromady, członka zagranicznego PAU, emerytowanego profesora New Jersey City University, zasłużonego działacza polonijnego, byłego prezesa i dyrektora PIASA.

Obszerniejszy tekst profesora Gromady o Oskarze Haleckim ukazał się już w numerze 233-235.

Redakcja

* * *

Autorytety

O moim mistrzu Oskarze Haleckim (1891–1973)

Pierwszy raz usłyszałem o Haleckim w roku 1943, kiedy miałem trzynaście lat. Odkryłem go w miejscowej bibliotece w Passaic, NJ, gdzie pewnego dnia zauważyłem nową książkę „History of Poland", napisaną przez Oskara Haleckiego i wydaną przez Roy Publishers w 1943. Książka ta wywarła na mnie ogromne wrażenie. Potem, w 1944 r., usłyszałem zdecydowany głos Oskara Haleckiego w radiu z Nowego Jorku, godnie broniący praw Polski po zgubnych decyzjach podjętych w Teheranie. W jakiś czas dowiedziałem się, że był uchodźcą politycznym, wielkim polskim historykiem, który znalazł schronienie w Ameryce, i że wykłada na Uniwersytecie Fordham w Bronx (Nowy York). Już przed ukończeniem szkoły podstawowej w parafii polskiej Świętego Józefa zdecydowałem, że chcę być historykiem i studiować pod opieką Profesora Oskara Haleckiego.

Moje marzenie ziściło się jesienią 1951 r. Nie zawiodłem się. Oskar Halecki wywarł na mnie ogromne wrażenie swoją inteligencją i fenomenalną wiedzą. Stał się moim intelektualnym ojcem i inspirującym wzorem. W 1953 r. byłem niezwykle dumny z uzyskaniu stopnia magistra historii Wschodniej Europy. Niestety nie mogłem natychmiast rozpocząć studiów doktoranckich, ponieważ zostałem powołany do służby wojskowej w związku z wojną koreańską w 1953 r. Dopiero w 1966 otrzymałem doktorat (Ph.D.,) z historii współczesnej Europy Wschodniej w Fordham University. Mój sen się ziścił.

Kontakt z Haleckim utrzymywałem także w czasie, kiedy był na emeryturze. Prawdę mówiąc, nasze kontakty osobiste uległy wtedy zacieśnieniu.

Ostatnią intelektualną pasją Haleckiego była Jadwiga Anjou. Pomimo problemów zdrowotnych ukończył manuskrypt „Jadwiga of Anjou and the Rise of East Central Europe". Przekazał mi ten rękopis, ręcznie napisane dzieło swojego życia. Oczekiwał, że przepiszę ten rękopis na maszynie, zredaguję go i przygotuję do publikacji. Miał rację, kiedy w stoicki sposób stwierdził, że „będzie to zapewne publikacja pośmiertna''. Zmarł 17 września 1973 r. Książka była wydana w 1991 r. (Columbia University Press). W roku 1993 przedstawiłem książkę papieżowi Janowi Pawłowi II. Sądzę, że jej publikacja przyczyniła się do kanonizacji Królowej Jadwigi. Wydanie polskie ukazało się w 2000 r. w Krakowie nakładem Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Największym osiągnięciem Haleckiego w okresie jego pobytu w Ameryce było uświadomienie amerykańskim historykom, że ignorując i lekceważąc rolę Europy Środkowo-Wschodniej, zniekształcają ogólną historię Starego Kontynentu. Swoje tezy pełniej wyłożył w pracy „Limits and Divisions of European History". Udało mu się rozpocząć powolny proces rewizji w spojrzeniu na historię Europy w Ameryce, a także w Europie Zachodniej. Dzięki Haleckiemu w 1956 r. założono na Uniwersytecie Columbia Instytut Studiów Środkowo-Wschodniej Europy.

TADEUSZ GROMADA

Professor Emeritus of European History
New Jersey City University

Narody pracą się bogacą? My popracujmy nad ich definicją (I)

MARCIN KULA

Jednym z kłopotów nauk społecznych i humanistycznych (niech już będzie to niemądre rozróżnienie…) jest brak precyzyjnych definicji rozpatrywanych zjawisk. Posługujemy się terminami, których nie potrafimy zdefiniować – na dodatek uczuciowo zabarwionymi („rasa"! „naród"!). Niektóre z nich zmieniają wyjściowe znaczenie, stosowane są też przenośnie (w jakiejś miejscowej gazetce czytałem o „Holokauście" ryb w Zatoce Puckiej...). Obrazy zjawisk dawnych służą jako swoisty alfabet we współczesnych wypowiedziach na dzisiejsze tematy. Kryteria potrzebne do zastosowania terminów, mogące służyć jako definicyjne, muszą się zmieniać, skoro ewoluują rozwiązania cywilizacyjne, wśród których ludzie żyli i żyją. Trudność definicyjna może płynąć z tego, że my się zmieniamy, co innego dostrzegamy lub inaczej postrzegamy z biegiem pokoleń i lat.

Nie będzie nam łatwo zgodzić się, co jest społecznością przednarodową, narodem, mniejszością narodową, grupą etniczną, grupą kulturową, bądź częścią narodu wyodrębnioną przez oddzielone terytorium, historię lub sposób gospodarowania. Zwłaszcza na peryferiach wielu krajów lub obszarach narodowo mieszanych trudno jest ustalić, pomiędzy jakimi grupami przebiega granica narodów. Nieraz, notabene, zainteresowani wiedzą to lepiej niż naukowcy, a przynajmniej są bardziej od nas pewni siebie w tej sprawie. Także ci, którzy chcą wymordowania jakiegoś narodu, czy stosowania represji według kryterium narodowego, mają mniej wątpliwości w kwestiach definicji i granicy uderzanych społeczności.

Terminem „naród" posługujemy się wszyscy – w życiu codziennym i w nauce. Określamy nim społeczności bardzo różne – jak, dajmy na to, zbiorowości Polaków, Amerykanów, Kubańczyków, Kongijczyków, Chińczyków… Odnosimy go do społeczności dużych i małych, istniejących dawno i niedawnych, także do odrodzonych (choć kwestia kontynuacji w ich życiu bywa dyskusyjna). Termin stosujemy do społeczności ukształtowanych bez wielkich planów w biegu historii i do powstałych na skutek arbitralnego wykreślenia granic państwowych lub zrodzonych dopiero przez powstałe wcześniej państwo. Znane jest powiedzenie Massimo d'Azeglio podczas sesji inauguracyjnej włoskiego parlamentu (1861): „Skoro już stworzyliśmy Włochy, trzeba będzie się zabrać do tworzenia Włochów"[1]. Jest to częsty wypadek państw i narodów powstałych na obszarach postkolonialnych.

Możemy dyskutować, czy stosować rozpatrywany termin do mieszkańców Andorry lub Luksemburga lub dla innych powodów do, dajmy na to, Inuitów, Romów, także niejednej grupy w Azji i Afryce. Nie mamy jasności co do momentu, w którym następuje przejście od życia przednarodowego do narodowego – choć już samo pytanie o to zakłada postępowanie procesu ewolucyjnego według jednego wzorca, co nie jest pewne. Różne narody wyrosły z grup choćby zalążkowo istniejących od bardzo dawna, ale niedających się kiedyś nazwać narodami. Powiedzenie, że naród polski istnieje od Mieszka, jest grubą przesadą, podobnie jak walka o „narodowość" Karola Wielkiego, Kopernika lub widzenie Grunwaldu jako starcia pomiędzy narodami polskim i niemieckim. Nie mamy dziś wątpliwości co do istnienia narodu holenderskiego, ale dzisiejszej Holandii w średniowieczu w znacznym stopniu fizycznie nie było, Płw. Iberyjski był muzułmański tak długo, że słowo „reconquista" (odwojowanie) jest dosyć umowne. W wypadku Francuzów kanoniczne przez lata zdanie z podręczników: „Nasi przodkowie Gallowie..." jest też przesadą, a w odniesieniu do czasów późniejszych jedni wiążą narodziny współczesnego narodu z chrztem Klodwiga (Reims, 496), a inni z Rewolucją Francuską (1789). Korzenie współczesnych narodów w Amerykach wiążą się z europejską kolonizacją (podział na dzisiejsze obszary, idee organizacji społeczeństwa), a realne formowanie się narodów z wojnami o niepodległość, zaś w Afryce z procesami uruchomionymi przez II wojnę i wyzwalaniem się od Europy. Można też wspomnieć o narodach, zdawałoby się, ukształtowanych, a z czasem zdezintegrowanych lub zagrożonych dezintegracją.

Zaznaczyłem już wątpliwości, czy droga od społeczności przednarodowych do narodów była uniwersalna. Można jednak zapytać, czy różne cywilizacje ewoluowały w kierunku stworzenia społeczeństw przypominających współczesne narody europejskie, czy to Europa mniej lub bardziej dosłownie narzuciła im ten wzór. Wcale nie jest powiedziane, że bez cywilizacyjnej dominacji Europy i następującego pod jej wpływem podziału ludzi na narody wielkie cywilizacje azjatyckie lub amerykańskie, czy też cywilizacja muzułmańska, owocowałyby narodami. Z faktu, że zdobywcy stosowali do państw indiańskich swoje kategorie, zaś społeczności indiańskie w Ameryce Północnej nazywali narodami, jeszcze niewiele wynika.

Warto powiązać kwestię tworzenia się narodów z procesami modernizacji (kolejny słabo zdefiniowany termin!). Nie byłoby narodów, przynajmniej w najbardziej znanej nam formie, bez rewolucji przemysłowej i masowej urbanizacji, bez nowych form komunikacji przestrzennej, bez masowego szkolnictwa, czy powszechnej służby wojskowej. Także bez pewnego stopnia demokratyzacji społeczeństwa – co nie musi się pokrywać z demokracją polityczną. No i, co nie najmniej ważne, bez celowych, a więc nie od „początku świata" istniejących, tematów myślenia, wysiłków w kierunku wyodrębniania pewnych grup czy to spod czyjejś władzy, uznawanej za obcą z powodu koloru skóry, etniczności, bądź z racji odmienności etnicznej panów i poddanych, bądź z racji obyczajów, religii, języka, przyjścia w drodze najazdu, uciążliwości rządów… Nie wszystkie te czynniki musiały być jednoznaczne. W kwestii koloru skóry i etniczności nieraz występowały sytuacje pośrednie. Religia katolicka nie była specyficzna dla Polaków, nawet jeśli w zdumiewający sposób łączy ona aspiracje uniwersalne z lokalizmami – co ułatwia jej funkcjonowanie w różnych krajach. Nie jest wszakże prawdą jednoznaczne przypisywanie do niej Polaków – acz odmienność wyznaniowa dwóch spośród trzech zaborców sprzyjała buntowi niepodległościowemu, zaś antagonizm z religią mojżeszową też miał wpływ na drogi kształtowania się narodu. Z kolei język nie od razu bywał językiem narodowym. Naród niekoniecznie mówi jednym językiem, a parę może mówić tym samym bądź bardzo bliskimi. Zdanie znane jako najstarsze w języku polskim – „Daj, ać ja pobruczę, a ty poczywaj" – przeczytane z odpowiednim akcentem, mogłoby być pewno uznane za wypowiedź po czesku. Hymn w państwie Franciszka Józefa I (1848–1916) można było śpiewać w każdym z 17 oficjalnych języków monarchii, w tym w jidysz[2]. Jest wszakże prawdą, że nieraz zakazy używania danego języka mogły katalizować proces narodotwórczy lub wyzwoleńczy, często zresztą powiązane – zaś elementem takich wysiłków bywało dążenie do odrodzenia historycznego języka.

Ważne w kwestii formowania się narodu, ewentualnie usamodzielniania się, także jego trwania, bywały: wspólna historia, przechodząca w pamięć o niej oraz różne elementy symboliczne, elementy krajobrazu, elementy przyrody ożywionej i nieożywionej, punkty na ziemi, postacie, które stały się symbolami. Wszystko to może być jednak umowne. Wizja historii w wielu punktach jest wizją uformowaną w dyskusyjny sposób. Elementy formacyjne w kultywowanej historii mogą być bardzo różne. Dla jednych będzie to zajęcie terenu, dla innych jakieś zwycięstwo, a jeszcze inni będą budować swoją tożsamość na tragediach, porażkach, czasem wręcz na kulcie klęski. Czynnikami formacyjnymi mogą być nawet klęski specyficznego typu – jak Wielki Głód w połowie XIX w. w Irlandii, czy jak katastrofa w Czarnobylu dla Ukrainy.

Szczerbiec i Korona św. Stefana – by wśród symboli wskazać przykłady polski i węgierski – nie są tak dawne, jak się najczęściej powtarza (nie mówiąc już o mieczu jakoby Mieszka I, który szczęśliwie nie stał się jeszcze symbolem narodowym, przekazanym ►

[1] Norman Davies, *Europa. Rozprawa historyka z historią*, Znak, Kraków 2004, s. 865.
[2] Tamże, s. 881.

w 2023 r. przez Jacka Sasina, ministra aktywów państwowych, i Pawła Majewskiego, prezesa Grupy Enea, o. Rydzykowi). Einstein, czyli postać mająca swoje znaczenie wśród osób, które stały się symbolami, wyraził się: „Jeżeli teoria względności okaże się prawdziwa, dla Niemców zostanę Niemcem, dla Szwajcarów Szwajcarem, a dla Francuzów – wielkim uczonym. Natomiast jeśli okaże się nieprawdziwa, dla Francuzów będę Szwajcarem, dla Szwajcarów Niemcem, a dla Niemców Żydem”[3].

Symbole mogą być wspólne dla różnych państw, mogą wędrować. Przy dzisiejszym stopniu skomunikowania się świata jest to częste. Czynniki sprzyjające istnieniu i trwaniu narodów najczęściej były i są przemieszane. Jan Hus jest postacią życia religijnego, a jednocześnie postacią bardzo ważną w dziejach Czech. Tak samo Jan Paweł II w wypadku Polaków. Owe symbole mogą być, co nie najmniej ważne, skomplikowane w interpretacji. Wystarczy zwrócić uwagę na postać Mickiewicza (!). Urodził się na dzisiejszej Białorusi, większość życia spędził poza jakkolwiek zarysowaną Polską, nie znał ani Warszawy, ani Krakowa, nie wziął udziału w polskich powstaniach narodowych, w zdenerwowaniu mógł powiedzieć pod czyimś adresem po rosyjsku „paszoł won”... i napisał polski poemat narodowy, zaczynający się od słów „Litwo, ojczyzno moja...”.

Cechy sprzyjające wyodrębnieniu się grupy, a więc także formowaniu i trwaniu narodów, można mnożyć. Można uwzględnić specyficzne elementy kultury materialnej, przeświadczenie ludzi o przynależności do danej grupy, folklor… Czasem mówi się o rzekomym charakterze narodowym jako o czynniku specyficznym dla danego narodu. Trudno negować, że w przekazie międzypokoleniowym każda grupa może wykształcić pewne style myślenia i zachowania. Najczęściej szybko zmieniają się one jednak pod wpływem okoliczności, zaś jeszcze częściej są stereotypami.

Po tej „wyliczance” należy jeszcze wskazać prawie współczesne pomysły stworzenia narodów przy zerowym ich zakorzenieniu w rzeczywistości społecznej, uwieńczone sukcesem lub nie (Liberia, Panama, naród radziecki, socjalistyczny naród NRD, naród Jugosławii).

MARCIN KULA
Uniwersytet Warszawski (emeritus)

[3] Norman Davies, *Europa. Rozprawa historyka z historią*, Znak, Kraków 2004, s. 865.

Rozmowa o Polsce

Jak podejmować decyzje w zróżnicowanym społeczeństwie?

„Fundamentem wolnego państwa jest wolna gmina” − całkowicie zgadzam się z powyższą opinią Jacka Purchli (PAUza **650** 15 czerwca 2023). Jak najwięcej spraw powinno być rozstrzyganych na poziomie gminy, powiatu i samorządowego województwa, a jak najmniej na szczeblu centralnym. Musi się to wiązać z odpowiednim finansowaniem. Jesteśmy stosunkowo dużym państwem bez struktury federacyjnej, co utrudnia rządzenie. Różnorodność rozwiązań na szczeblu wojewódzkim byłaby pewną namiastką federacyjności. Po przekazaniu większości zadań samorządom różnych szczebli, państwowa „centrala” będzie mogła skuteczniej radzić sobie ze sprawami strategicznymi, o których nie można decydować lokalnie.

Kolejną kwestią jest konieczność zwiększenia udziału społeczeństwa w procesach decyzyjnych. Obecnie partycypacja obywatelska sprowadza się najczęściej do głosowania (lub nie) w wyborach, rzadziej do udziału w protestach czy innych inicjatywach obywatelskich. Nie daje to poczucia sprawczości i sprzyja podejściu do każdej władzy w kategorii „oni”. Moim zdaniem pożądaną zmianą byłaby reforma sądów, zmierzająca w kierunku sądów przysięgłych. Każdy obywatel musiałby liczyć się z tym, że zostanie wylosowany i będzie miał wpływ na rozstrzygnięcia. Już słyszę głosy o niedojrzałości społeczeństwa. Starsze pokolenie może pamiętać film *Dwunastu gniewnych ludzi* z 1957 roku, w którym wystarczył tylko jeden z dwunastu, by werdykt został poddany pod rozwagę, a w rezultacie odrzucone zostało rozwiązanie, które w gruncie rzeczy byłoby linczem, w dużej mierze podyktowanym uprzedzeniami. Myślę, że w naszym kraju przysięgli potrafiliby zachowywać się równie racjonalnie jak przysięgli w krajach anglosaskich, a co ważniejsze, rozstrzygnięcia byłyby bardziej zgodne z duchem prawa, a nie tylko z jego literą.

Jak podejmować decyzje w sprawach trudnych i kontrowersyjnych, takich jak dopuszczalność aborcji, wiek emerytalny, małżeństwa jednopłciowe i wiele, wiele innych? Politycy zawsze będą kierować się krótkoterminowym interesem, tj. wpływem rozstrzygnięcia na najbliższe wybory. Referenda są – w moim przekonaniu – fatalnym, bo niezwykle podatnym na demagogię rozwiązaniem. Wystarczy na przykład zygotę nazwać dzieckiem, by oskarżyć zwolenników kontrolowanej aborcji czy dostępności środków wczesnoporonnych o dzieciobójstwo. Referenda pogłębiają też podziały w społeczeństwie, zwłaszcza gdy wynik nie jest ewidentnie korzystny dla jakiegoś rozwiązania. Jeszcze gorzej, gdy wynik jest jednoznaczny, ale niewiążący, lub gdy jedna ze stron sporu ideologicznego postanowi bojkotować referendum. Być może powinniśmy powrócić do stosowanej już w starożytnych Atenach idei powoływania obywateli do współrządzenia, w tym przypadku rekomendowania decyzji, drogą losowania? W praktyce mogłoby to wyglądać następująco: do rozstrzygnięcia jakiejś istotnej społecznie i kontrowersyjnej kwestii losowana jest spośród dorosłych obywateli reprezentatywna grupa osób, zwana panelem obywatelskim, która w określonym czasie albo przedstawi rekomendację zatwierdzoną klasyfikowaną większością głosów (np. 2/3), albo stwierdzi, że nie jest w stanie takiej rekomendacji przedstawić. Panel obywatelski miałby nie tylko możliwość swobodnej bezpośredniej dyskusji, ale także odwoływania się do opinii ekspertów. Uczestnictwo musiałoby być raczej dobrowolne, ponieważ udział w obradach byłby dość czasochłonny. Do rozważenia byłaby rekompensata finansowa za poświęcony czas. Trzeba by zastanowić się też, czy opinia takiego gremium byłaby wiążąca dla sprawujących władzę, czy nie. Nawet jeśli byłaby to tylko niewiążąca opinia, przynajmniej w fazie testowania takiego systemu, niewątpliwie pomagałaby w dokonywaniu racjonalnych wyborów. Idea paneli obywatelskich była już praktykowana w kilku krajach świata, o czym można przeczytać w „Świecie Nauki” z grudnia 2022 roku. Artykuł ten prezentuje też ateńską maszynę do losowania, a także omawia algorytmy losowania, które mogłyby być używane we współczesnym świecie.

Jestem biologiem, w ostatnich dekadach mocno zaangażowanym w problemy transformacji energetycznej i ogólniej w kwestię ochrony klimatu. W tym felietonie zająłem się nie tymi problemami, lecz sposobami podejmowania decyzji, gdyż moim zdaniem bez reform w tym zakresie trudno będzie podejmować racjonalne, często kosztowne decyzje niezbędne do uchronienia świata przed nadciągającą katastrofą klimatyczną.

JAN KOZŁOWSKI
Uniwersytet Jagielloński

Politykom wolno więcej

Felieton pod tym tytułem, podpisany ABBA, ukazał się w **428** numerze PAUzy 7 maja 2018. Przypominam go, bo warto, myślę, porównać ówczesną sytuację z dzisiejszym stanem rzeczy.

*

Niemal codzienna wymiana gorszących epitetów pomiędzy reprezentantami różnych obozów politycznych to nic nowego pod słońcem i historyk mógłby zapewne podać wiele przykładów takiego zachowania zarówno w dawnej, jak i nie tak dawnej historii. Nie tylko zresztą w Polsce. Z jakiegoś powodu w tym zakresie „politykom wolno więcej". Wyrażenia, które w prywatnej wymianie zdań zostałyby z pewnością uznane za niedopuszczalną obrazę, wśród polityków są zazwyczaj tolerowane. Dlaczego?

Aby przestudiować problem „naukowo", sięgnąłem do podstawowego dzieła w tej materii, czyli do KODEKSU HONOROWEGO Władysława Boziewicza. Już w pierwszym rozdziale znalazłem objaśnienia, które – jak mi się wydaje – wiele tłumaczą.

Zacznijmy od definicji: „Obrazę powoduje każde oświadczenie, zachowanie, względnie działanie, które może zaszkodzić dobremu imieniu danej osoby lub poniżyć ją w opinii ogółu". Niby jasne, ale okazuje się, że sprawa nie jest wcale prosta. Czytamy bowiem dalej: „Obraza jest pojęciem ściśle podmiotowem i zależy od wrażliwości tej osoby, przeciw której została skierowaną, zależy zatem od wykształcenia, wychowania i towarzystwa, w którem dana osoba przebywa". I jeszcze: „W tych warunkach dla jednego będzie obrazą małe uchybienie form dobrego znalezienia się w towarzystwie, a dla drugiego nawet wybitna gburowatość nią nie będzie".

Inaczej mówiąc, ocena tego, czy jakieś zachowanie lub wyrażenie jest, czy nie jest, obrazą, zależy wyłącznie od tego, jak odczuwa je sam obrażany. A to z kolei w dużym stopniu jest określone przez poziom i obyczaje towarzystwa, w którym przychodzi mu żyć i działać. Najwidoczniej środowisko polityków to nie Wersal. Toteż, chcąc nie chcąc, każdy, kto tam wchodzi, musi uzbroić się w skórę słonia.

Z *Kodeksu* dowiadujemy się również, że istnieją trzy stopnie obrazy. Obraza LEKKA to „uchybienie godności lub miłości własnej obrażonego, jednak bez naruszenia jego czci", a więc „niewłaściwe a rozmyślne zachowanie towarzyskie w stosunku do obrażonego, odmówienie mu dobrego znalezienia się, inteligencji itp." Z kolei obraza CIĘŻKA to „uwłaczenie czci przez lżące słowa lub przypisywanie hańbiących właściwości". Wchodzą tu „zarzuty nieprawdomówności, niedotrzymania słowa, brak odwagi cywilnej lub fizycznej, zarzut nieuctwa itp." Wreszcie mamy obrazę BARDZO CIĘŻKĄ, którą stanowi „każda obraza, której towarzyszy znieważenie czynne lub zarzut przeciw honorowi". Autor wyjaśnia dalej, że chodzi o „nieuzasadnione obwinienie lub podejrzenie o postępki wybitnie nieetyczne, a mianowicie fałszywą grę w karty, przekupstwo, nadużycie posiadanych praw, sprzeniewierzenie, nie mniej zniewagi czynne".

Kodeks stwierdza też, że nie każdy może uczestniczyć w postępowaniu honorowym, i określa dość wysokie wymagania (dotyczące wykształcenia, inteligencji, stanowiska etc.), jakie musi spełniać „osoba honorowa", zdolna żądać „satysfakcji honorowej" lub ją dawać.

Mam wrażenie, że wiele przypadków obrazy występujących w polskiej polityce należy uznać za ciężkie zniewagi co najmniej drugiego stopnia. Jak zatem normalny człowiek może znieść traktowanie go jako kłamcy, oszusta albo głupca? Nawet jeżeli to przyjęta w środowisku konwencja. Dlaczego nie odejdzie z hukiem? Otóż w *Kodeksie* czytamy: „W każdym razie trudno jest przyjąć za obrazę zachowanie się osoby, która z powodu niższego wykształcenia, rozwoju umysłowego, obycia towarzyskiego, nie zdaje sobie sprawy z popełnionego nietaktu". Myślę, że to właśnie stawia przysłowiową kropkę nad i. Słysząc inwektywy, należy uznać, że poziom przeciwnika nie pozwala uznać go za „osobę honorową", a więc nie można żądać od niego satysfakcji.

Rezultat nie jest taki zły. Chociaż nasi reprezentanci wymyślają sobie od najgorszych, to jednak – jak dotąd – przynajmniej nie dochodzi do rękoczynów. Język jest więc może ostrzejszy, ale obyczaje łagodnieją. Nie słyszy się też o pojedynkach, które przed wojną – chociaż prawnie zakazane – miały jednak miejsce i czasem kończyły się naprawdę tragicznie, jak o tym mówią roczniki starych gazet.

ABBA

*

Rzut oka na bieżące wiadomości jasno pokazuje, że obyczaje wśród reprezentantów narodu niewiele się zmieniły. Politycy różnych szczebli nadal wymyślają sobie od ostatnich i nikt się tym specjalnie nie przejmuje, bo uznajemy to za „normalność". Nowym, wartym odnotowania zjawiskiem jest natomiast poszerzenie celu ataków. Nie przypominam sobie, aby pięć lat temu jakiś polityk wystąpił z obelgami pod adresem zwykłego obywatela. Owszem, Ludwik Dorn powiedział kiedyś o „wykształciuchach". Było też słynne „spieprzaj dziadu". Ale to wyrażenia łagodne, niemal pieszczotliwe, w porównaniu z epitetami wewnątrz klasy politycznej.

Teraz ochrona ludzi spoza kręgów władzy, najwyraźniej przestała obowiązywać. Jakiś czas temu ważny poseł nazwał spotkaną w sklepie kobietę kretynką, bo ośmieliła się skrytykować jego działalność. Z kolei całkiem niedawno jeden z ministrów publicznie nazwał pewnego profesora nieukiem i chamem, bo ten zganił postępowanie innego przedstawiciela władzy. Obaj przyznali sobie więc prawo do osobistego obrażania niesfornych obywateli, ignorując ich prawo do krytykowania władzy. Można powiedzieć: władza schodzi do ludu.

Ciekawe, czy te incydenty otworzą furtkę dalszym wybrykom naszych władców, którym ewidentnie coraz trudniej utrzymać nerwy na wodzy. A może to nie nerwy, lecz chłodna kalkulacja, że brutalny język lepiej mobilizuje zwolenników.

Historia podsuwa przykłady, jak odpowiadać na taką napaść. Sokrates nie zareagował, gdy ktoś go kopnął. Pytany, dlaczego, odparł: „A gdyby osioł mnie kopnął, to czy pozwałbym go przed sąd?". Demostenes, któremu ktoś ubliżał, oświadczył: „Nie przystępuję do walki, w której zwycięzca jest gorszy od zwyciężonego".

Poza tym, już w przedszkolu nas uczono: *Kto kogo przezywa, tak się sam nazywa.*

ANDRZEJ BIAŁAS

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – **tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.**

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy"; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotoskład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.